

# Królewiaczy

przez

Artura Gruszeckiego.

32)

— To mało, albo wcale nic nie znaczy, bo i rekrut jedzie z Warszawy do Turkiestanu, a wraca taki sam mądry, jak pojechał. Poznać, to znaczy umieć patrzeć, — zapalał się doktor. — Idź pani na rynek Kleparski, na plac Szczepański i zobacz te ich barwne stroje, które odpowiadają ich temperamentowi, posłuchaj pani tonu ich rozmów, patrz pani na ich rysy zdecydowane, na ruchy śmiałe, celowe. A gdyby pani tak nieznacznie podpatrzyła ich w knajpie, w kawiarni, jaka w nich gościnność, szczerść i rycerskość wobec kobiet i dzieci. Naród, który taki lud posiada, zginąć nie może.

— Romek, pójdę z tobą? Pan tak dobrze charakteryzuje, że dla tych Krakowiaków zaczynam się godzić z Krakowem, byłem ich mogła widzieć i obserwować.

— Radzę pani, — mówił doktor, — zobaczyć wpierw obrazy Tetmajera. On doskonale podchwycił ruch i nastrój ich życia. Gdyby swego Krakowiaka ubrał nawet we frak i białą kamizelkę, to poznałbym w nim chłopca krakowskiego po jego ruchu zdecydowanym.

— Ale ja chcę żywych, nie na obrazach, — zaśmiała się Irena.

— I tych ujrzy pani w całym ich blasku, bo wiem, że przygotowuje się banderya krakowska, coś około ośmiuset Krakusów na koniach. I znów te konie i sposób dosiadanania ich, prowadzenia, jak maluje temperament jeźdźcy i konia! To wprost coś zadziwiającego, coś, czego się nigdzie, na całym świecie nie widzi... ale dość o tem. Czy interesuje się państwo obchodem Grunwaldzkim?

— O tyle, o ile, — westchnęła Czajkowska, — wobec naszych kłopotów i zmartwień nie bierzemy takiego udziału, jakbyśmy chcieli.

— A pan, panie Romanie, nie należysz do jakiego komitetu? do sekcji?

— Myślałem o tem, ale nie wiem, do kogo się zwrócić?

— To rzecz najmniejsza. Niech pan zajdzie do kancelaryi któregośkolwiek z komitetów, wszędzie zostanie pan chętnie przyjęty.

Przy herbacie spytał doktor Irenę, co się dzieje z owym robotnikiem, który był w szpitalu.

— Wypisał się już od paru tygodni, stałej pracy jednak znaleźć nie może.

— A jaki jest stan jego zdrówia? — dopytywał się.

— Z każdym dniem lepszy; rwie się do roboty, od czasu do czasu zamiata ulice. I niech pan sobie wyobrazi, że nie tylko żadnej pomocy nie przyjmuje, ale uciułał z tego marnego, niestałego za robku cztery korony i chciał nam oddać na rachunek pożyczonych mu pieniędzy.

— Dzielną chłop!

— Panie Romanie, gdy będzie pan w komitecie, łatwo może się pan wystarać o chwilowe zajęcie dla swego protegowanego. Za jakiś tydzień, dwa, cały Kraków będzie wrzał przygotowaniami do uroczystości, a cena rąk wzrośnie i trzeba korzystać z chwili... A z Warszawy nie spodziewacie się państwa gości? bo słyszałem, że mnóstwo osób wybiera się na ten obchód.

— Otrzymałem kilka listów z prośbą o zamówienie numerów w hotelu na ten czas, — odpowiedział Roman.

— Zamów pan wcześniej, bo zjazd zapowiada się bardzo liczny.

— Czy naprawdę tak dużo? — spytała Irena.

— Przypuszczalnie, przeszło sto tysięcy ludzi.

— I pomieszczą się tu? — zdziwiła się.

— W Krakowie, to jak w dworach polskich, ściany się rozszerzają na przyjęcie gości.

— Jak to dobrze, że pan przyszedł do nas, — odezwiała się Czajkowska rozjaśniona, — inna otucha wstępuje we mnie, gdy słucham, że jednak ten Kraków posiada tak wielkie zalety. Już to samo, że jest on na wskrós polski, jak pan powiada, zniewała do zapomnienia jego braków i błędów.

— Mama może zapomnieć, bo żyje mama w Krakowie, ale nie z Krakowem — uśmiechnęła się Irena, — a ja nie zapomnę, że jest nudny, plotkarski, pełen hypokryzy i przesądów.

— To pozory, panno Ireno, — bronił doktor, — bo świeżo przybyłemu najpierw rzuca się w oczy pasożytnictwo duchowieństwa, biurokracji i wojskowości, ale pod tą powłoką jest ruch i życie.

Wszczęła się rozmowa o nowych prądach w literaturze i sztuce, wreszcie doktor ze względu na późną godzinę wyszedł.

Był to pierwszy weselszy wieczór od czasu przykrych przeżyć. Czajkowsky nie czuli się już tak osamotnieni i otoczeni niechętnymi.

— Doktor ma rację, — rzekł Roman wesoło, — nie można tak kwaśnieć w domu i rozpamiętywać doznane przykrości, trzeba żyć życiem ogólnem.

— I co myślisz robić? — spytała matka.

— Pójdę do komitetu i zobaczę się ze znajomymi, których tak zaniedbałem.

— Pójdę i ja, — odezwiała się Irena.

— A ty gdzie? — spojrzała na nią matka.

— Wiem, że zawiązał się komitet akademicki, może i ja przydam się na coś.

Nazajutrz Roman odczytał w dzienniku spis komitetów, podkomitetów, sekcji powołanych do pracy przygotowawczej nad uświetnieniem obchodu grunwaldzkiego, a wśród mnóstwa nazw i tytułów nie mógł się zdecydować gdzie iść, komu ofiarować swe usługi.

Postanowił tedy poradzić się swoich dobrych znajomych, stale mieszkających w Krakowie, z którymi dawniej spotykał się na piwie.

Wszedł do wielkiej sali w porze, w której zwykle się zbierało znane mu towarzystwo i zastał przy długim, wązkim stole poszukiwanych, którzy powitali go wesołymi okrzykami.

Posypały się pytania beznadziejne:

— Gdzie byliście? Coście robili? Siadaj pan, — a chłopak przyniósł mu natychmiast bombę piwa.

— Cóż, panie dobrodzieju, orznął was żydowina? — przemówił Remberski, — ile też połknął ten żarliwny rekin?

— Kaucję moją, i nie wiem, co z niej uratuję.

— A dyabli pana skusili, — nachmurzył się Marski, — dodać żydowi tysiąc pięćset koron, jak mi dziś mówiono w sądzie.

— Co? — zawołał Remberski, — dodał pan?..

O, u was musi być tani pieniądź w Warszawie — kiedy pan karmi nim żydów.

— Tak wypadło, — rzekł Roman zmieszany, — zdawało mi się, że fabryka rozwija się i daje wielkie zyski, ale był to bilans sztuczny.

— Ile też pan otrzyma? — odezwał się Milczak, — mówią coś o trzydziestym procencie.

— Gadanie! — nachmurzył się Marski, — rozmawiałem z komisarzem upadłości, ledwie dziesięć procent otrzymają wierzyciele, a pan, jako zabezpieczony na parcelach budowlanych, otrzyma prawdopodobnie dwadzieścia pięć. I dlaczego nie ubezpieczył pan tak samo swej dalszej kaucyi hipotecznie.

— Spiegelman ofiarował mi zabezpieczenie na majątku żony, a tymczasem i jej majątek zrujnował doszczętnie przez swoje bankructwo.

— A bodajże pan w konia wlaź! — zaklął milczący dotychczas Kanicki, — takiej naiwności nie spodziewałem się po panu. Zobaczysz pan, że z chwilą pogodzenia się z wierzycielami, pokrzywdzona Spiegelmanowa kupi fabrykę i będzie dalej prowadziła interes.

— To więcej niż pewne, — potwierdził Remberski, — mam też wyrzuty sumienia, że przyczyniłem się niechcący do wzbogacenia żyda pańskimi pieniędzmi i tego mi żal najbardziej.

— Tylko tego, a pana Czajkowskiego nie? — zadrwił Kanicki.

— Tak jest, pana nie żałuję. Pieniądze te naturalnie lepiej było stracić chociażby z nami, albo na przyjemne lajdactwo, ale żeby pakować w pełny brzuch żyda, panie dobrodzieju, na to trzeba było paść na głowę przy urodzeniu. Przepraszam pana, — wyciągnął rękę do Romana, — ale niech mi jasny piorun trzaśnie, jeśli się tego po panu, po Warszawianku spodziewałem!

— Dziwny sposób okazywania współczucia, — skrzywił się z niesmakiem Kanicki, — mógłbyś używać przyzwoitszej formy.

— Nie każdy liźnął arystokracji, — zaśmiał się Remberski.

— Głupiś, — mruknął pogardliwie Kanicki.

— Czy do lustra mówisz? — śmiał się głośno Remberski, — nie potrzebujesz być tak otwartym.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Kanicki spytał poważnie Romana:

— Czy pan, jako nie tutejszy, nie zauważył, że u nas głupi dowcip bywa najgoręcej okłaskiwany?

— Pan Czajkowski, — odpowiedział Marski, — nie może się znać dobrze na złośliwości krakowskiej, zostaw to nam do osądzenia.

— A wiecie, — zaczął Remberski, — dziś rano przyszła do mnie jakaś małpa i zaczyna mi deklamować o gościnności, solidarności, patryotyczności...

a ja mu na to: udławię się przez te ości, mów pan prosto, czego chcesz? a ten dopiero ładnie, układnie, prosi o przyjęcie lokatora na czas obchodu.

— Cóżes mu odpowiedział? — spytał Marski, bo i do mnie zgłosił się dzisiaj jakiś jegomość.

— Ja, panie dobrodzieju, mówię mu: Widzi pan ten szezlong? dam poduszkę, jakąś chaderę do nakrycia, niech legnie i śpi.

— Dobrześ zrobił, — pochwalił Milczak.

— Nie przerywaj, jeszcze nie skończyłem... powiedziałem mu też, że jeśli trzeba, to ja się prześpię na materacu, a łóżko mogę odstąpić. I wyobraźcie sobie, ta małpa zaczyna mi mówić o szczupłości funduszu i pyta, ile ja chcę? A niechże cię jasny piorun trzaśnie, panie dobrodzieju! To ty, kundlu, chcesz mi płacić? Za to, że ktoś się u mnie prześpi? — Czy on mi zeżre poduszkę? popsuje ściany?..

— Może jednak zawsze uszkodzić twe apartamenty i wspaniałe meble, — zadrwił Kanicki.

— Ty nie ostrz sobie języka na mojej haberdzie, ja tam za elegancją nie gonię i kurzów nie wydychuję jak ty, ale u mnie wygodnie, po gospodarsku. A ty, — zwrócił się do Marskiego, — ucapiśz jakiego Sokoła?

— Powiedziałem, — uśmiechnął się Marski, — że trzech zamówiło się do mnie, a pomieści się czwarty, niech sobie wlaź, co mi to szkodzi?

— I tak niema ciebie cały dzień w domu, a gościem jesteś w nocy, — zaśmiał się Kanicki.

— Bo szanuję i oszczędzam swoje mieszkanie. Ale wiecie, zjazd zapowiada się znakomity i będzie to wspanialsza manifestacja, aniżeli przy jubileuszu Kraszewskiego. Z całej Polski przedrozbiorowej napływają zgłoszenia. Polacy z Moskwy, z Petersburga, z Ameryki, a prócz tego reprezentacje wszystkich narodów słowiańskich.

— Taka manifestacja antyniemiecka, — rzekł Milczak z grymasem niechęci, — jest moim zdaniem niewłaściwa. Poco nam drażnić Prusaków?

— Idźże im lizać łapy! — oburzył się Remberski, — a będą cię obwozili w klatce jako arcylojalnego Polaka.

— Nie irytuj się, — uspokajał go Milczak, — tego zdania co ja, są i inni, poważni i bogaci ludzie.

— Wiem, wiem, — gorączkował się Remberski, — to są psubraty, wnuki tych psubratów, którzy nas zaprzęдали w niewolę, ty mi o nich nie wspominaj, im śmierdzi lud, ulica, a pachną order i łapówki rządowe. Już oni doczekają się, że razem z żydami będą zdobili latarnie i suche gałęzie.

— Jaki ten Remberski gwałtowny, — mówił spokojnie Milczak, — z politycznych względów wydaje mi się taka olbrzymia manifestacja szkodliwą dla Poznańskiego, a swoją drogą, sam ofiarowałem dwa łóżka u siebie, więc czego wyzwierzasz się na mnie?

— Boś tchórzliwa dusza, lada Szwaba się boisz. Miarkuj tylko, jak my rośniemy w siły. Z początku walczy tylko szlachta pod Napoleonem i w powstaniu listopadowym. W 1863 mieszczaństwo rej wiedzie, a dziś na odgłos: Polska! biegają chłopie ze wszystkich stron Krakowa, ażeby zmanifestować swoją polskość. Rozumiesz, ty pało biurokracja?

— A ty co? nie urzędnik? — zaśmiał się Milczak.

— Dla mnie uważasz, urząd jest sposobem napechania żołądka, ale od duszy mu wara, i taki ja biurokrata, jak ty geniusz polityczny.

— Ciebie zawsze się koncepta trzymają, — uśmiechnął się słabo Milczak.

— Dobry żart tyńfa wart! — zaśmiał się Marski. — A ty, Kanicki, pewno na cztery spusty zamykasz na ten czas twoje salony?

— Ty myślisz, że jesteś lepszy od drugich dlatego, że kilku przyjałeś, którzy razem z tobą będą się obijali po całych dniach i nocach. Ja mam gorszą biedę...

— Jaką? jaką? — pytali zaciekawieni.

— Zgłosił się do mnie kolega z żoną i trojgiem dzieci, — westchnął.

— No, babiszony w mieszkaniu, to koniec świata, — mówił poważnie Remberski i wyciągając rękę do Kanickiego: — współczuję z tobą, tyś ofiara, ale pociesz się, że kiedyś się odplacisz, gdy wpadniesz na kark drugiemu z żoną i sześciorgiem dzieci.

— A niechże cię twój jasny piorun trzaśnie, pawanie jakiś, wpierw ja będę na twoim ślubie i będę ci do chrztu trzymał krzykliwe Remberszczaki.

— W tej materii nie lubię żartów, — nachmurzył się Remberski, — i niech mnie jasny piorun trzaśnie, zanim zrobię jeden krok do ołtarza.

— A dlaczegoż mnie tego życzysz?